



Mirosław Derecki

UWAGA: „PREZENTACJE”!

Październik jest dla publicysty zajmującego się sprawami teatru miesiącem wyjątkowo pracowitym. Po wakacyjnej przerwie teatry występują z nowymi premierami, ożywia się działalność scen amatorskich, z letnich zgrupowań wracają teatry studenckie. Przede wszystkim zaś w tym pierwszym okresie jesieni odbywa się w Lublinie wielodniowa impreza „Estrady”, mająca już u nas ponad dziesięcioletnią tradycję - „Prezentacje”. Nazwa słuszna i o wiele bardziej adekwatna niż początkowa: „Nasz Mały Festiwal”, bo i pozbawiona afektacji, i oddająca istotę rzeczy. W ciągu dwóch tygodni obserwujemy szereg ostatnich polskich dokonań artystycznych z dziedziny teatru, muzyki, estrady, baletu, a zazwyczaj trafiają do Lublina w ramach „Prezentacji” także znane zagraniczne zespoły odbywające turnée po Polsce. Właśnie dzięki „Prezentacjom” mogliśmy w tym roku zobaczyć Big-Band Duke Ellingtona pod dyrekcją jego syna, Mercera.

Zwracano uwagę na pomieszczenie gatunków i stylów w repertuarze „Prezentacji”, na lata obfitujące w teatry jednego aktora i okresy niebezpiecznego przechyłu w kierunku estradowo-rozrywkowym. Trzeba jednak pamiętać, że „Prezentacje” są między innymi także - prezentacją tych zespołów i tych przedstawień, jakie może „Estrada” właśnie na jesieni ściągnąć do Lublina.

Trzeba sobie powiedzieć, że „Prezentacje” nie pretendują do miana festiwalu, nie są też wielce znaczącą w Polsce imprezą a tylko - i to jest właśnie najważniejsze - stworzeniem możliwości obejrzenia przynajmniej części tego, co na polskiej scenie i estradzie interesujące. Można poczytywać za sukces, że na „Prezentacjach” zadomowił się na stałe Polski Teatr Tańca, Conrada Drzewieckiego, ale nie musi się rwać szat z powodu „zawalenia” występów przez Marylę Rodowicz, czy też utyskiwać, że było za mało kabaretów, a za dużo muzyki, lub na odwrót. W sumie przecież w ciągu ostatnich lat oglądaliśmy dzięki „Prezentacjom” - Teatr Studio, „Eref”, wspomniany już Polski Teatr Tańca, Teatr „Syrena”, Pantomimę Wrocławską, warszawski STS, recitale Cembrzyńskiej, Kofy itp., zespoły muzyczno-estradowe tak popularne i lubiane jak Dwa plus Jeden czy Tropicale Tahiti Granda Banda... Że to misz-masz? Zgoda... Ale przecież wart obejrzenia.

Inna sprawa, że „kupując” poszczególne teatry, lubelska „Estrada” mogłaby zwracać większą uwagę na zasadność takich właśnie, a nie innych oferowanych jej przedstawień. Ciesząc się z możliwości zobaczenia w tym roku na lubelskiej scenie Teatru „Stara Prochownia” wolałbym jednak obejrzeć jakieś bardziej znaczące przedstawienie - choćby „Związek przyjacielski” wg Bułata Okudźawy, lub „Pannę Julię” wg. A. Strindberga z Mają Komorowską, a nie akurat „Fatum na zakręcie”. Przedstawienie zrobione w oparciu o ballady, piosenki i wiersze Joanny Kulmowej. (Zresztą dobrze wyreżyserowane przez Aleksandrę Górską i z kulturą zagrane przez Krystynę Tkacz, Aleksandrę Górską i Andrzeja Szajewskiego). Twórczością Kulmowej można się entuzjasmować, można polecać ją jako pożyteczną lekturę i można wreszcie, z jej tekstów złożyć udany program estradowy ale po co zaraz pokazywać go na „Prezentacjach?”

Już o wiele bardziej słuszna była oferta krakowskiej „Estrady”, która przysłała swój Teatr Małych Form z przedstawieniem „Marii i Magdaleny” według książki Magdaleny Samozwaniec. Idąc na ten spektakl zastanawiałem się jaki w ogóle sens ma przenoszenie na scenę tej obszernej, wspomnieniowej pozycji, wprawdzie wartko napisanej i skrzęcej się dowcipem, ale zarazem afektowanej i... dość przecież pustej. Oczywiście, temat może być swoistym „samograjem” - szczególnie w Krakowie.

Tymczasem „Maria i Magdalena”, przysposobiona na scenę przez Ewę Otwinowską i kulturalnie wyreżyserowana przez związaną od lat z krakowskim Teatrem Starym - Ewę Próchnicką, jest przykładem doskonałej roboty inscenizatorskiej i aktorskiej, chociaż - powiedzmy sobie szczerzą - jest to przedstawienie bardzo „do wzięcia” przez różne instytucje na tzw. „część artystyczną”. Ale jest też „Maria i Magdalena” tym, co można pokazać na każdej scenie: kawałem prawdziwego rzemiosła, zarówno od strony dramaturgicznej jak i artystycznej.

Opowieść o młodych Kossakównych - Marii (Romana Próchnicka) i Magdalenie (Maria Nowotarska) została wzbogacona fragmentami wierszy Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i uzupełniona wspomnieniami ludzi odwiedzających niegdyś słynną „Kossakówkę”. Dzięki tym zabiegom szczególnie szczerze rysuje się postać znakomitej poetki. Nawiasem mówiąc, po raz pierwszy słyszałem tak dobrze mówione i tak przekonująco interpretowane wiersze Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Przedstawienie rozgrywa się w kilku planach czasowych, aktorki przechodzą nagle do gry „obok postaci”, przedzierzgają się w komentatorki przeżyć, doznań i zdarzeń z życia Marii i Magdaleny, a wszystko to odbywa się w sposób prawie niezauważalny, płynny, wypełniając spektakl pulsującym rytmem, dzięki któremu „Maria i Magdalena” trzyma widza przez cały czas w napięciu.

W przedstawieniu Próchnickiej wyszła rzecz gubiąca się trochę w książce Magdaleny Samozwaniec: niereżyserowany dramatyzm losu ludzkiego i prawdziwa siła uczuć

targających duszą ludzką. Zgodziłbym się z tym, co pisze Henryk Vogler o przedstawieniu: *Kondensacja warstwy epickiej, rozbudowa sytuacji komediowych i dramatycznych wraz z uzupełniającym podkreśleniem roli, jaką wielka poezja Pawlikowskiej odegrała w tej rzeczywistości - stworzyły nową jakość: sceniczną, tym razem, sagę rodu Kossaków.*

Rozpisałem się na temat „Marii i Magdaleny” dlatego że to przedstawienie stanowi przykład, jak zarobkowo-estradowa forma teatralna, obliczona na tzw. szeroki teren, może być nasycona autentyczną - choć nie odkrywczą - treścią artystyczną. Romana Próchnicka i Maria Nowotarska, współpracujące od wielu lat, mają w repertuarze także „Listy dwóch młodych mężatek” oparte na prozie Balzaca i myślę, że chętnie zobaczylibyśmy to przedstawienie w następnych „Prezentacjach”.

Z zupełnie innego punktu widzenia należy chyba przyjrzeć się dokonaniom Pantomimy Olsztyńskiej, słynnej „Pantomimy Głuchych”, pod dyktando i kierownictwem artystycznym Bohdana Głuszcza. Zaprezentowała ona widowisko pantomimiczne w V częściach „Apokalipsa”, w inscenizacji i reżyserii Bohdana Głuszcza i Jerzego Obłamskiego. Scenariusz - według „Objawienia Św. Jana Ewangelisty” i na motywach drzeworytów Albrechta Durrera. W drugiej części spektaklu pokazano „Caprichos” w reżyserii i choreografii Bohdana Głuszcza; przedstawienie inspirowane twórczością Francesco Goyi. Doskonała reżyseria i gra zespołu, scenografia i kostiumy Józefa Zboromirskiego do „Apokalipsy”, a Bożeny i Eugeniusza Jankowskich do „Caprichos”, świetne maski Sylwina Mydlaka, wykorzystanie muzyki Krzysztofa Pendereckiego, m.in. „Pałki Św. Łukasza” i H. M. Góreckiego, dało spektakl wysokich lotów, zresztą należycie oceniony przez krytykę wielu krajów, w których występowała Pantomima.

Głuszcak pokazał, jak w oparciu o amatorów i to amatorów dotkniętych kalectwem – głuchotą, można stworzyć zespół prawdziwie artystyczny. Jego sceniczne przypowieści o dramacie losu ludzkiego, o ułomności natury ludzkiej, walce o godność człowieka nabierają, przy specyfice tej Pantomimy, szczególnego brzmienia filozoficznego, dodatkowego dramatyzmu. Głuszcak buduje przedstawienie w oparciu o kształt plastyczny i muzyczny spektaklu. Ciało ludzkie traktuje jako element plastycznego tworzywa, z którego buduje swoje ruchome i tak pełne wyrazu sceniczne kompozycje. Nie stawia na kunszt aktorski tam, gdzie trudno go osiągnąć. Nie zamyka się w regułach klasycznej pantomimy. Wspiera się słowem padającym zza sceny, z magnetofonu – na przykład w „Apokalipsie” fragmentami „Objawienia Św. Jana Ewangelisty”. Wykorzystuje wiele mówiącą maskę. Ci, którzy nie mogą przemówić ustami, mówią własnym ciałem.

Pantomima Olsztyńska świadczy, że ruch amatorski, również na prowincji? Jest zdolny do nowoczesności i nowatorstwa w sztuce, że może wyrwać się z dotychczasowych, konwencjonalnych opłatków, jeżeli wśród instruktorów k. o. znajdzie się prawdziwy artysta i

człowiek o szerokim oddechu. Mógł wszak zespół z Olsztyna pozostać na etapie amatorskiego teatru głuchoniemych grającego językiem migowym komedie Aleksandra Fredry - jak zaczynał przed dwudziestu laty...

Gdy w 1959 r. kierownictwo zespołu objął reżyser i aktor, absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej i Teatralnej w Łodzi, Bohdan Gluszczyk. Już jego pierwszy spektakl, „Szkice kolorowe”, sięgający do języka pantomimicznego, przekonał zarówno aktorów jak i widzów o możliwości wzajemnego porozumienia. Gluszczyk sięgał do doświadczeń młodej jeszcze Wrocławskiej Pantomimy Henryka Tomaszewskiego, do sztuki Jeana Louisa Barraulta i Marcela Marceau. Zaczęto zauważać amatorów z Olsztyna na festiwalach, kręcono filmy o ich pracy i... o ich sztuce. W ciągu dwudziestu lat przygotowali dziesięć programów, występowali w wielu krajach, m. in. w Wielkiej Brytanii, Francji, RFN. Stanach Zjednoczonych, zdobywając nagrody nie jako głusi, ale jako artyści. Grali na scenach pięćdziesięciu miast polskich i dwudziestu jeden miast zagranicznych. Dali 600 spektakli w kraju i 65 za granicą. Oglądało ich 170 tysięcy widzów.

Olsztyńska Pantomima występowała kilka lat temu w Lublinie w ramach Studenckiej Wiosny Teatralnej, teraz mogliśmy ją oglądać znowu. Niestety, zlokalizowanie przedstawień w odległym od centrum miasta Domu Kultury Kolejarza, na niewygodnej, płytkiej i niskiej scenie wpłynęło i na stosunkowo małą frekwencję, i psuło czystość rysunku przedstawienia. Godziło się pokazać „Apokalipse” i „Caprichos” na scenie Teatru im. Osterwy lub choćby w „Chatce Żaka”, nie obawiając się o frekwencję. Przecież frekwencja na „Malczewskim” w wykonaniu lubelskiego Studia Wizji i Ruchu, nie mówiąc już o tłumach wypełniających salę teatru w czasie występów - także w ramach „Prezentacji” - zespołu Conrada Drzewieckiego świadczy o zapotrzebowaniu w Lublinie na ten rodzaj sztuki. A tak, Pantomima Olsztyńska „uniknęła” w pewnym sensie publiczności, szczególnie studenckiej i można mieć tylko nadzieję, że w przyszłym roku ten błąd zostanie przez „Estradę” naprawiony.

Szereg zapowiadanych występów nie doszło w czasie „Prezentacji” do skutku jak wspomniany już recital Maryli Rodowicz, występ duetu fortepianowego: Marek Tomaszewski i Wacek Kisielewski, jak kabaret „Czart”, który nie zdążył z premierą. Nie wiem też, czy ktoś oglądał składankę „Estrady” - „Lubelskie kolory”, która miała być przedstawieniem zamkniętym, i to tak hermetycznie, że piszący te słowa na owe „Lubelskie kolory” nie otrzymał zaproszenia. Niektóre fuksy nie sprawdziły się, tak jak na przykład warszawski „Teatr na Targówku” z rewią przebojów „Kto chce piosenkę”. Potwierdziła się raz jeszcze opinia, że hala sportowa WOSTiW jest dla występów estradowych złem koniecznym, a sala widowiskowa Domu Nauczyciela nadaje się doskonale na imprezy kameralne (jak np. występ Mieczysława Świąćickiego) i że jest ona wciąż jeszcze zbyt mało

wykorzystywana na użytek kabaretowy. Ale w sumie - podobały mi się te „Prezentacje”, okraszona jeszcze występami Rosiewicza z „Hagawem” i grupy „Dwa plus Jeden”.

Oczywiście, największymi wydarzeniami „Prezentacji” były występy Big-Bandu Duke Ellingtona (o którym niech piszą znawcy), Pantomimy Olsztyńskiej oraz Polskiego Teatru Tańca, który przed wyjazdem do Paryża pokazał w Lublinie „Elegię heroiczną” Karola Odstricila, „Listy intymne” Leosa Jannceka i „Kryminałki niedbałki” Oskara Nedbala w choreografii Pavela Smoka. Ale na ten temat napisze Maria Bechczyc-Rudnicka.

Pierwodruk: „Kamena”, 1977, nr 24, s. 10.